Rok I. Kraków, dnia 15 Września 1883. Nr. 17 i 18.

Przedpłata wynosi:
dla Publiczności:
w miejscu:
rocznie . . . złr. 4.50
półrocznie . „ 2.25
z przesyłką pocztową:
rocznie złr. 5.—
„ mrk. 9.—
„ fr. 11.—
półrocznie złr. 2.50
„ mrk. 4.50
„ fr. 5.50

PRZYSZŁOŚĆ

Organ poświęcony młodzieży polskiéj.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Ul. Św. Anny l. 5. (naprzeciw Coll. Phisicum). Ajencya: u p. Kuklińskiego w hali Sukiennic l. 5. — we Lwowie: w Księgarni Polskiéj, plac Halicki. — Numer pojedynczy **20 ct.**

Przedpłata wynosi:
dla ucz. się młodzieży:
w miejscu:
rocznie . . . złr. 2.50
półrocznie . „ 1.25
z przesyłką pocztową:
rocznie złr. 3.—
„ mrk. 5.30
„ fr. 6.50
półrocznie złr. 1.50
„ mrk. 2.70
„ fr. 3.25

POGADANKA.

(Zob. Nr. 14).

IV.

Omówiliśmy podstawy, na których spoczęła wiedza pozytywna. Widzieliśmy drogę, którą postępował umysł ludzki nim doszedł do przeświadczenia o powszechnej prawidłowości zjawisk (I), widzieliśmy jaką on stoczył walkę z dogmatyzmem, aby badaniu prawdy otworzyć ciężkie wrota zaparte nagromadzonemi przez ciąg wieków przesądami (II), widzieliśmy wreszcie drugą walkę, którą zwiódł już niejako sam z sobą, a któréj celem było zapanowanie nad ślepą żądzą bezowocnych, po za granice sprawdzalności sięgających dociekań (III). W tym pochodzie weszła wiedza pozytywna naprzód w konflikt z teologią, następnie musiała zająć wrogie stanowisko w obec filozofii oderwanej. Mimo to zachowywała się ona względem filozofii tak, jak to bywa względem osób, z których się kpi po cichu, a jednak ustępuje się im pierwszego miejsca. Filozofia namaszczoną była swojem wysokiem zadaniem, jako nauka wszechświat w całości obejmująca; potrzeba takiego objęcia było niezaprzeczoną, ważną wielce, a wiedza pozytywna rozdzielona na gałęzie, nie zdołała bądź co bądź zadania tego spełnić. Żadna z gałęzi nauk nie obejmowała tak szerokiego widnokręgu; w pojedynek z filozofią żadna pójść nie mogła. Mogły one jednak stanąć naprzeciw niej wszystkie razem. Była już nić, która je łączyła: przeświadczenie o powszechnej prawidłowości zjawisk. Z chwilą kiedy przeświadczenie to rozciągnęło się i na zjawiska społeczne, luźne gałęzie wiedzy pozytywnej cały już wszechświat rozebrały między siebie. Chodziło o to, aby się połączyły w jeden organizm. Pojęcie wzajemnej zależności praw przyrodzonych czyniło zorganizowanie takie koniecznem. Podział wiedzy na gałęzie może być tylko czasowym, dla dogodności uczynionym, ale jest zawsze sztucznym i z jednością praw przyrodzonych się sprzecza. Zrozumienie tego wydaje się koniecznością, a jednak było to jajo kolumbowe. Postawił je August Comte. Wielki ten reformator urodził się na schyłku zeszłego wieku, w chwili kiedy się rodził na polu nauk, przemysłu i reform społecznych wiek XIX. A z pośród wielkich dzieł tego wieku on nie najpośledniejszego dokonał: „dał filozofii metodę nauk pozytywnych, nauki pozytywne związał w jedność filozoficzną“ (Littré).

Przyjrzyjmy się temu dziełu, które nosi nazwę wydającą się być wielu ludziom sprzeczną samą w sobie, nazwę f i l o z o f i i p o z y t y w n e j. Comte określa tę nową filozofię jako naukę o naczelnych prawdach naukowych („étude des généralités scientifiques“). Każda gałąź wiedzy ma swoją własną filozofię, stanowią ją naczelne prawdy, które zdobyła i metoda, którą się posługuje. Z zestawienia tych wszystkich filozofij, powstaje filozofia ogólna. Łatwo zrozumieć, że Comte nie odkrył sam prawd, z których filozofię swą złożył; prawdy te nagromadziły pozytywne nauki. Pozytywni badacze istnieli oddawna, Comte zbudował f i l o z o f i ę pozytywną. Dziełem jego jest ugrupowanie, usystemizowanie pierwiastków już istniejących. Tego ugrupowania dokonał on w swojej h i e r a r c h i i n a u k. Weszły w nią tylko nauki zajmujące się prawami zjawisk, czyli nauki abstrakcyjne, w przeciwstawieniu do czysto opisowych, konkretnych. Myślą przewodnią złożenia w hierarchię tych nauk abstrakcyjnych, była wzrastająca złożoność praw, któremi się zajmują. Hierarchia Comte'owska jest następująca: matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia, socyologia. Psychologia stanowi tu część biologii. Socyologia zajmuje się zjawiskami złożeńszemi niż biologia, ta złożeńszemi niż chemia i t. d. Każda w hierarchii wyższa umiejętność prócz praw niższych szczebli ma jeszcze swoje własne, a nawzajem w wyższej od niej do tych przybywają znów prawa nowe.

Pomijamy zarzuty, które spotkały tę klasyfikacyę z różnych stron. Najważniejszemi, niezawsze dla słuszności swej, ale raczej dla powagi imion krytyków, są podniesione przez Spencera, Milla i Huxleya, z którymi się starli w obronie mistrza Littré i Lewes*). Zarzuty te w każdym razie mają tylko drugorzędne znaczenie. Nie przeczymy bynajmniej, że hierarchia Comte'a może być niedoskonałą, ale choćby nawet z gruntu zmienioną została, ocaleje jej myśl przewodnia. Filozofia pozytywna nie jest subjektywnym systemem, który naruszony krytyką cały pęka jak łza bolońska. Jej znaczenie nie w sztucznej konstrukcyi, ale w tej myśli zasadniczej, aby ostatnie wyniki nauk połączyć w jedną ogólną, wyższą umiejętność. Połączenie luźne, zrobiłoby też umiejętność encyklopedyczną. Ale jeśli w niem uwydatni się wzajemny związek i zależność praw przyrodzonych, jeśli one złożą rzeczywiście system i jedną organiczną naukę, wtedy nauka ta jest filozofią, nauką o prawach naczelnych bytu, obejmującą całość wszechświata. Comte złożył rzeczywiście prawa przyrodzone w taki system filozoficzny, a przypuściwszy nawet, że je było można złożyć inaczej, to wobec zasadniczej myśli jest to już rzeczą podrzędną.

A teraz przypatrzmy się znaczeniu filozofii pozytywnej.

---

*) Zob. zwłaszcza końcowe rozdziały historyi filozofii Lewes'a (tłom. niem.: „Gesch. der Phil.“ 2 Brad 1876). Nadto: Littré: Aug. Comte et St. Mill. i tegoż: „Aug. Comte et la philos. positive. Ochorowicz: „Wstep i pogląd ogólny na filoz. pozytywną“. Ta rozprawka należy zresztą do słabszych prac Ochorowicza

Historya przedewszystkiem wykazuje, że filozofia, t. j. nauka o ostatecznych przyczynach i o wszechświecie jako całości jest potrzebą konieczną ducha ludzkiego. Filozofia pozytywna ma więc prawo bytu jako filozofia w ogóle. Ależ ona nie rozwiązuje pytania ostatecznych przyczyn? Tak, ale zbliża się do odpowiedzi o tyle, o ile zbliżenie się jest możliwem. Jeżeli więc duch ludzki żąda na owe pytania odpowiedzi i jeżeli żąda prawdy, po ścieżce prawdy doprowadza go filozofia pozytywna tak daleko ku rozwiązaniu onych zagadnień, jak daleko w danej chwili zajść ścieżką tą można. Odpowiedź jej może być ograniczona, ale z odpowiedzi z prawdą zgodnych jest najdalej idącą a z odpowiedzi daleko idących jest jedynie z prawdą zgodna. Jeżeli więc filozofia ma być wiedzą, nie mrzonką lub fantazyą, filozofia pozytywna jest jedyną możliwą filozofią.

Ale przypuśćmy dwojaki zarzut: 1) żądza ducha ludzkiego dojścia przyczyn ostatecznych wychodzi poza świat zmysłowy i poza sprawdzalność filozofia pozytywna zadowolnić jej nie może; 2) Filozofia jest w ogóle niepotrzebną**). Zarzut pierwszy znajduje odpowiedź w tem cośmy dopiero mówili. Jeśli duch ludzki nie zadawalnia się tem, do czego dotrzeć jest zdolny, niechże zaspakaja się wylatywaniem pod obłoki, ale niech wie, że to co ztamtąd przyniesie, z prawdą nie ma nic wspólnego. Jeśli zadowolni się kłamstwem lub mrzonką, niech jej szuka, ale wiedza nic nie ma do czynienia z podobnemi zachciankami. Nie pomogą ani szydercze uśmiechy rzucane w przestrzeń, ani romantyczne westchnienia, ani pytania posyłane ku gwiazdom, nic to nie wzruszy żelaznej konieczności, nie odsłoni ostatniej karty księgi wielkich tajemnic; postąpić ku niej można karta za kartą tylko, które wiedza pozytywna odmyka, a wreszcie i zrozumieć tylko wtedy, jeśli się jej wątek od źródła pochwyci i koleją prawd coraz wyższych rozsnuje. Co do drugiego zarzutu, to ten wyraża wprawdzie subjektywne tylko przekonanie i stąd nie zasługiwałby na odpowiedź, gdyby nie to, że przekonanie to opierać się zdaje na pomyłce. Metafizyka zdyskredytowała nazwisko filozofii w oczach ludzi trzeźwiej myślących. Dla tego, ponieważ z nią pozytywna wiedza nie ma nic wspólnego, przypuśćmy na chwilę, że filozofia pozytywna nie jest filozofią; nazwijmy ją nauką sui generis i uzasadnijmy jej prawo istnienia jako takiej.

Wiemy, że zrazu wiedza była jedną całością i dopiero późniejszy rozwój podzielił ją na gałęzie; podział ten uskutecznionym był dla dogodniejszego objęcia zbyt wielkiego materyału, a więc nie dla przyrodzonej konieczności, ale raczej dla wygody. Prawa przyrodzone nie dzielą się też na grupy od siebie odosobnione, tak jak się dzielą nauki o tych prawach; owszem, nietylko że między wszelkiego rodzaju prawami istnieje ciągły związek i wzajemna zależność, ale postęp wiedzy odkrywa zasadniczą jedność praw tam, gdzie zrazu przedstawiają się tylko różnice. Tak n. p. przewidywanem jest, że z czasem wszelkie kosmiczne zjawiska odniesionemi będą do praw mechanicznych. A gdy nauka dąży do praw coraz ogólniejszych i wyższych, podział jej na odosobnione gałęzie może być często ważną w tem dążeniu przeszkodą. Badacz dochodzi wreszcie w uogólnieniu do granic gdzie go jego własna umiejętność opuszcza; postęp ku wyższej abstrakcyi zamknięty jest granicami jednej umiejętności. Skoro więc ta umiejętność wzniesie się do pewnej wyżyny, zestawienie jej z innemi staje się koniecznością. Każda gałąź wiedzy postępując od faktów do uogólnień, przychodzi wreszcie do ostatecznego iloczynu, którym zamyka rachunek. Takie to iloczyny stanowią dopiero znowu elementa dalszego rachunku; trzeba je zbliżyć do siebie. To właśnie uskutecznia filozofia pozytywna, i bądźto rachunek dalszy podejmując postępuje wyżej po szczeblach indukcyi, bądź wyrabia światło dedukcyjne dla użytku niższych pracownic, od których nań materyał przyjęła. Zaprzeczenie prawa bytu takiej umiejętności, jest zaprzeczeniem prawa dalszego rozwoju wiedzy, jest postawieniem hasła „dotąd ale nie dalej!“ Lecz i to nie wszystko. Filozofia pozytywna zawiera w sobie nietylko wyniki nauk, ale i ich metody. Zestawienie metod prawie niemniej jest ważnem jak zestawienie wyników. Comte powiada, że logika traktowana w oderwaniu od nauk, w których jako metoda prawdę zdobywa, jest czczą umiejętnością i zostaje bez wpływu na umysł. Przeciwnie umysł kształcący się na metodach naukowych w ich zastosowaniu, rośnie w potęgę i bogaci się pracą wieków i pokoleń. Połączone metody naukowe, to cały arsenał umysłu ludzkiego. Z samego już zastosowania przejętej od innych nauk metody, tryskały nieraz potężne światła: tak stosuje Quetelet matematykę do nauki o społeczeństwie, metoda przyrodnicza psychologii nowe drogi otwiera, Darwin historyczną metodą reformuje nauki przyrodzone... Możnaby powiedzieć, że geniusz jestto zdolność zbliżania odległych wyobrażeń, zdolność szczególna kojarzenia ich, nie dana zwykłym umysłom. Otóż filozofia pozytywna zbliżając do siebie wyniki nauk i metody, otwiera drogi podobnemu kojarzeniu: skutki mogą być nieocenione, jak geniusz niespodziewane i olbrzymie.

Comte świadomy był tego znaczenia swej nauki. (Phil. posit. T. I. str. 34 — 37) a spodziewał się od niej jeszcze, że przeobrazi system kształcenia się. Pragnął, by każdy wyżej ukształcony człowiek, a nieodzownie każdy jakiejkolwiek gałęzi wiedzy się poświęcający, obznajomiony był z całością wyników wiedzy i obeznany z wszechstronną naukową metodą. Filozofia pozytywna uczyniła to możliwem: dotąd bez fachowych studyów trudno wyjść poza granice własnej umiejętności, a na fachowe studya we wszystkich kierunkach nie starczy życie ludzkie. Filozofia pozytywna stworzy prawdziwie humanitarne wykształcenie i to jedno z jej zadań nienajmniejszych. (C. d. n).

**) Te zarzuty nie są fikcyjne. Pamiętamy, żeśmy je oba słyszeli, choć inaczej sformułowane, z dwu ust bardzo poważnych na jednym z wieczorków w Czytelni akadem. krak.

Z zapisek.

Najpopularniejszą, a raczej najwięcej zajmującą świat literacki poetką jest obecnie Marya Konopnicka. Odcinki wszystkich prawie dzienników zapełniły się oceanami jej utworów. Wystąpienie z tomem poezyi, w którym jest wiele rzeczy bardzo dobrych, należy do rzadkości, dziś, kiedy powieść realistyczna i społeczny dramat podzieliły się w ten sposób obszarami poezyi, że dla siebie zagarnęły lwie części, zostawiając skromny

kącik dla poetycznej liryki. Stąd poezya naszych czasów jest poezyą liryczną. Jestto dziedzina dość zresztą często odwiedzana przez miłośników i miłośnice, które uważają dla siebie za święty obowiązek, w jakim tygodniku lub innem piśmie pokazać światu, że jeżeli Goethe, Byron, Mickiewicz i inne gwiazdy Parnasu mieli prawo do pisania wierszy, to i im nic w zasadzie nie może przeszkadzać do zawiadomienia opinii o swych sympatyach i antypatyach. Świat bywa wyrozumiały. Każdy zresztą przechodził przez manią wierszowania i nie gniewa się zbytecznie widząc, że u kogoś ta niewinna predylekcya na większą skalę i trwale się objawia. Byle go jeszcze uwolnić od czytania, to nic a nic przeciw temu mieć nie będzie.

Ochotnik, który się pod sztandar rymownictwa zaciągnął, jest w niemałym kłopocie co do wyboru kierunku. Może albo wystąpić jako domniemany następca Juliusza Słowackiego, albo współzawodnik Heinego w wyszukiwaniu drastycznych kontrastów patetyki z trywialnością, albo puszczać się na własną rękę. Jeżeli zgodzi się na to ostatnie, to nowe pytanie go czeka.

Co będę robił? — powinien się zapytać siebie samego. — Czy mam dosiadać wichrów, wodzić się za łby z tęczami, jutrzenkami na śnieżnych szczytach i bez parasola śmiać się złośliwie z nadciągającej burzy, nic a nic sobie z niej nie robiąc, czy też kuć arcydzieła stylu, z tem jednem baczeniem, żeby w nich myśli nie było? Albo to, albo owo! Albo skołtunione myśli, albo bezmyślne perełki stylu!

Zdanie powyższe wydawałoby się przesadnem, gdyby każdy z czytelników nie mógł naocznie sprawdzić rzetelności w jakimbądź tygodniku. Wśród tego zastępu każda prawdziwie oryginalna i świeża zdolność odrazu musi na jaw wypłynąć i upomnieć się, by opinia oddzieliła ją, wyznaczyła jej miejsce, na jakie zasługuje.

Od niedawnego czasu zwróciła na siebie uwagę w korzystny sposób Marya Konopnicka. Wziąwszy do ręki pierwszy tom jej poezyi — widzi się odrazu, że to nie jest zwykła duszyczka pędzona żądzą wygadania się przed światem, ale prawdziwie inteligentna poetka, władająca dzielnie piórem, oryginalna w inwencyi, świadoma swych dążeń. Mamy pod sobą obecnie drugi tom jej utworów, zatytułowany drugą seryą. Co do zewnętrznych warunków, to uderza odrazu brak tych próbek przedmiotowego opowiadania i dramatyzowanych urywków — jakie napotykało się w tomie pierwszym. Tu prócz jednego wiersza *Sclavus saltans* jest sama liryka. Nie założyliśmy sobie szczegółowego rozbioru tej drugiej seryi, zwrócimy tylko uwagę na pewne charakterystyczne cechy i zastanowimy się nad niemi pobieżnie.

Powiedzieliśmy, że Konopnicka jest poetką inteligentną — nazwa ta przedewszystkiem jej się należy. Nie przeżuwa ona oklepanego motywu miłości, wynurzanej po altankach i zaułkach z nieodłącznym aparatem księżycowego oświetlenia i koncertem całej ornitologii, lecz porusza kwestye ważne, o szerszem znaczeniu. Ma ona niewyczerpaną miłość dla biednych i pognębionych, od mężczyzny żąda męzkości i czynu, a przedewszystkiem rozumnego celu w życiu.

Ty będziesz silnym przez moc tę słoneczną,
Co ze świadomych siebie pragnień bije,
Przez to, co w piersi twej rwie się — i żyje,
Tęsknotą wieczną!
Przez to, co z złudzeń młodzieńczych rozbicia
Zostanie tobie jak ster nieomylny,
Przez to, co prawdzie oddasz z swego życia...
Ty będziesz silny!

Potrzebę tej siły czuje bardzo głęboko, ufna w nią urąga burzy, grozi nią złym i przemocnym, a nieograniczoną miłością chce biedz na pomoc słabym, bezsilnym, uciśnionym. Do poczucia siły doprowadza ją wielka znajomość natury ludzkiej, dzielne odczucie najdrobniejszych pragnień i popędów. Pod tym względem tom tej poezyi jest bogaty. Na każdej karcie spotyka się jakieś nowe uczucie, jakąś odmienną myśl, a wśród tego bogactwa panuje niezamącona harmonia.

Poglądy jej są — że się tak wyrazimy — liberalne i demokratyczne. Poglądy te nie opuszczają jej ani na chwilę, a wiersz, ani wyobraźnia nie unosi jej w przestrzenie dalekie od realnych potrzeb. Umie ona radzić praktycznie:

Dziś samym walczyć nie można zapałem,
Myśl przekuj w słowo, a słowo — zrób ciałem!
Siej za twym pługiem nie marę, lecz czyny:
Przyszłości jasne ukochaj dziedziny,
I bądź ciśniętą nocy rękawicą —
Czuwaj strażnico!

Oczy jej zwrócone są w przyszłość. Ta przyszłość jest jej troską i staraniem. Nie rzuca ona kamieniem na ubiegłe czasy, nie ściąga gromów na czoła pradziadów, ani nie gryzie zjadliwym zębem. Ona myśli o jutrze — i dla tego jutra pracuje. Stosunki obecne nie mają jej miłości — bo widzi w nich dużo niesprawiedliwości i egoistycznego brudu.

Stolica gore i kipi jak morze,
Zda się, że od niej żar bucha i parzy,
Jakieś wołania i śmiechy i jęki,
U spodu ciemne mrowisko nędzarzy,
A nad niem nuta rozpustnej piosenki...
Duch przyspieszony w powietrze uderza,
Zmieszane tłumy prą naprzód i spieszą...
Na bok, kto nie masz złotego puklerza,
Zgniotą cię, zdepcą, a potem — ośmieszą.

Lubi ona zaciekać się w męty dzisiejszego społeczeństwa i wydobywać z nich straszne obrazy. Lubi rzucać ona w oczy krwawe zapytania, na które nie ma odpowiedzi. Skłonność ta graniczy nawet czasem z przesadą — tak obcesowo lecą zagadnienia. Ale ideły Konopnickiej mają krew w sobie i kości. Zdaje się, że spełnienie ich nie jest niemożliwe, że potrzeba tylko dobrej woli i dobych chęci. Obce są jej doktryny powszechnej miłości w rodzaju Krasińskiego lub utopijne marzenia. Żąda tylko poczucia się do posług i spełnienia do ostatniej chwili obowiązku.

Język Konopnickiej jest bujny, giętki i bogaty. Czuć, że jej nie braknie wyrazów dla ubrania myśli. Puszcza się ona nawet na oryginalne zwroty, szczególnie w użyciu przymiotników, w czem zresztą nie zawsze szczęśliwie jej się powodzi. Ważniejszy zarzut stanowiłoby zbytnie rozwlekanie się nad jedną myślą. Brak jędrności istotnej nagrodzić się stara malowniczością dekoracyi, n. p. w wierszu p. t. „C o s i ę s t a ł o?“ poświęca całe 46 wierszy zupełnie zbytecznych, choć zresztą pięknych na to, żeby w końcu powiedzieć:

Co się stało? co się stało?
Drży z rozkoszy, płonie, żyje!
Ach! to komuś serce bije!
Ach! to wiosny słodki trunek,
Upojenie w piersi sączy —
Ach! to pierwszy pocałunek
Rozkochane usta łączy!

Co mnie to może obchodzić? myśli sobie czytelnik, przekonawszy się, że szeroki opis natury ma być tylko ramkami dla tak ubogiej i błachej treści. Poetka używa środka, którym już Horacy posługiwał się do

zbytku. Każdy ogólniejszy obraz rozbiera na części składowe i tworzy z nich osobne obrazy — często te jeszcze rozdrabniając; w ten sposób może rozwinąć rzeczywiście wielkie bogactwa dekoracyjne, rozprowadzić tło bardzo szczegółowo, ale myśl sama cierpi na tem, bo nie postępuje naprzód. Musi się ona zatrzymać, aż poetka dokładnie jeden obraz wyczerpie zanim zabierze myśl i przykuje ją do nowej seryi obrazów. Sprawia to wrażenie rozwlekłości. Ztąd u Konopnickiej bez końca dźwięczą refrainy, powtarzają się symetrycznie rozstawione pytania, lub zwroty jedne i te same. Często bardzo na większej treściwości zupełnie pomysł by nie ucierpiał, a forma nawetby zyskała.

Prześliczne, nieporównane są jej motywa ludowe. Konopnicka z tak oryginalnej strony do nich się wzięła, że życie ludu, jego troski i żale stały się dla niej kopalnią wielkich uroków i prawdy. Nie poetyzuje ona ludu, lecz przez jego usta naiwne opisuje krwawe obrazy nędzy. Pióro jej nagina się do oddania wszystkiego z prostotą i rzewną rubasznością uczuć człowieka, który czuje, ale nie sadzi się na umiejętne wypowiedzenie. Braki w formie powyżej zaznaczone nie występują tu już rażąco.

Każdy utwór jest perełką — ale perełką krwawą, bo Konopnicka opisuje iście krwawe dzieje ludu, ich okropną nędzę, upokorzenia, niedolę, niezaspokojone pragnienia i tłumione chęci. Jej chłop jest paryasem ostatnim z ostatnich. Na wesele nie ma czasu, bo dzień cały gnie się pod brzemieniem pracy, nawet słońce na niebie inaczej dla niego świeci, kiedy orze ugór, niż dla pana, księdza lub karbowego.

Przyjdzie południe do mojej chaty,
U twardej siądzie ławy
I patrzy — jasne na moją dziatwę,
Bladą od lichej strawy.
I rozłamuje czarny kęs chleba
Drżącemi — ot — rękami...
A co poniesie do ust kruszynkę,
To się zaleje łzami!

Zacząwszy od niezwykłego poczucia miary wiersza, która sama już przyczynia się do nadania tej nowej poezyi ludowego charakteru, a skończywszy na zdumiewającej obserwacyi, plastyce i wżyciu się w najdrobniejsze bóle chłopskiej doli — wszędzie jest Konopnicka niezrównaną na tem polu artystką. Mimowoli jednak nasuwa się pytanie, czy to źródło nie wyczerpie się rychło. Bo dotychczas ma ono bardzo szczupłe granice — dotychczas jeden ton odrywa się tylko: opisy nędzy wieśniaczej. Czy poetka nie chce, czy nie może w inne struny serc chłopskich uderzyć? niewiadomo... Ale chyba nie może, bo z doli tej jedna nędza odzywa się do niej. Rażą nas tylko nieco wycieczki poetki wplecione w opowiadanie wieśniaków. Są one zanadto wyrafinowane, żeby mogły iść na karb chłopa. Rozumimy, że Konopnicka używa ich dla tem silniejszego zaznaczenia niedoli i biedy — zgadzamy się zupełnie na ten cel. Ale właśnie tą drogą skutku nie osiągnie. Prostacze zwierzenia głodnego chłopka lub tęsknota dziewczęcia daleko większą tchną prawdą. Na cóż więc użycie środków, które tylko krzywdzący zarzut tendencyjności ściągnąć mogą?

GŁOS WOLNY.

Odniosła młodzież zwycięstwo na ostatniem posiedzeniu komitetu Mickiewiczowskiego: zapadła uchwała za Rynkiem. Uchwała ta jak wiemy jest powtórną, i należy się spodziewać, ostateczną. Przyjdzie ona jeszcze przed Radę miejską i tu los jej ostatecznie się rozstrzygnie, ale Radzie nie pozostaje nic chyba jak plac żądany wyznaczyć; gdyby się stało inaczej, oburzenie byłoby ogromne we wszystkich ziemiach polskich, które składkami się przyczyniają do dzieła. Nie chcemy też przypuszczać, aby prywata poczęła przeciw tej uchwale swoje wichrzenia i los jej zagroziła. — Na posiedzeniu głosowano za czterema placami; bowiem w obec przyjęcia pod dyskusyę wniosku p. Rzewuskiego, uchwałę poprzednią co do Rynku uważać wypadało za zniesioną i stanąć na stanowisku pierwotnem. Komisya artystyczna podjęła więc na nowo plac Franciszkański, prof. Łepkowski plac Szczepański. Głosowano na wniosek kol. Pawlikowskiego w ten sposób, że daną była możność głosowania za drugim placem, gdyby nie przeszedł ten, za którym się głosowało poprzednio. I tak komisya przepadłszy z placem Franciszkańskim, podzieliła się między Rynek i plac Uniwersytecki. Dziwnym jest fakt, że p. Paweł Popiel, który na poprzedniem posiedzeniu za Rynkiem przeciw placowi Uniwersyteckiemu się oświadczył, zmienił zdanie tym razem. Zwolennik placu Franciszkańskiego wybrał „z dwojga złego“ w sprzeczności ze swem poprzedniem stanowiskiem plac Uniwersytecki. Co do dyskusyi, to projektu p. Rzewuskiego bronili hr. Sierakowski i prof. hr. Tarnowski. Prof. Tarnowski motywował swe zdanie moralnemi i fizycznemi względami, a poparł przez odczytanie licznych listów od różnych członków i niečłonków komitetu, oświadczających się za placem Uniw. Prof. Łuszczkiewicz nie chciał uznać powagi tych wszystkich cytowanych hrabiów i niehrabiów, a na zdanie, że zniwelowanie pochyłego placu w wieku gdzie się tunele gothardzkie buduje, nie jest zbyt wielkiem zadaniem, odpowiedział, że mimo tylu wielkich wynalazków naszego wieku, nie wymyślono jeszcze kija z jednym końcem. Popierając Rynek, prof. Ł. zaprzeczył, jakoby pomnik na nim w obec wieży Maryackiej zniknął, używając mniej szczęśliwego argumentu, że nie znika tablica pamiątkowa Sobieskiego wmurowana w ścianę kościoła. Nie omieszkał też tego odeprzeć prof. Tarnowski dość ostro. Prof. Łuszczkiewicz jednak miał zapewne na myśli, i słusznie, że wysokość otaczających budynków nie zaszkodzi pomnikowi, co zaś do wielkości placu, połowa Rynku sukiennicami ograniczona, nie jest tak wielką, aby pomnik w niej zniknął. — Przemawiali dalej za Rynkiem pp. Koźmian, dr. Jordan, W. Szymanowski i kolega Pawlikowski w imieniu młodzieży. W odpowiedzi na twierdzenie hr. Sierakowskiego jakoby Mickiewiczowi wstrętnem było to „codzienne“ życie jakie wre na Rynku, oświadczył kol. Pawlikowski, że czegoś podobnego w Mickiewiczu się nie doczytał, a gdyby zresztą takie argumenta ważyły, to przeciw placowi przed Uniwersytetem przemawiałyby ustępy z pism Adama, gdzie przejawia się lekceważenie światowej mądrości. „Za to pamiętam, mówił, w Mickiewiczu to wspaniałe

miejsce, w którem wyraża gorące życzenie, aby pieśni jego weszły w lud i znane były w pałacu i chacie". Pomnik Mickiewicza niech budzi pamięć o nim w tłumach; leży w celu pomników, aby były na oczach wszystkich. Ma się stawiać pomnik w miejscu ustronnem, gdzie nikt chodzić nie będzie, prócz młodzieży, a prócz niej chyba ci, co umyślnie pomnik zobaczyć pragną, to lepiej umieścić go w jakiem muzeum. Słyszy młodzież często ubolewania nad sobą, że jej nie chcą Mickiewicza postawić przed Uniwersytetem. Niech jej nie żałują, ona sama go tam mieć nie chce; mówi to przysłany przez nią z wyraźnym, w tym duchu wyrażonym mandatem, jej reprezentant. Pomnik Mickiewicza niech budzi uczucia patryotyzmu, cnoty i piękna, a to nie przywilej młodzieży. Młodzież będzie go mieć i widzieć równo ze wszystkimi na Rynku. Owszem, złym by było omenem dla nowego Uniwersytetu, stawiać przed nim pomnik p o e t y. Pomnik na Rynku będzie i dla młodzieży, jako dla ludzi i obywateli, ale nie jako dla studentów i wyłącznie studentów. Potem rozbierał mówca fizyczne wady placu Uniwersyteckiego, które go czynią pod pomnik niezdatnym.

Prof. Tarnowski zabrawszy jeszcze raz głos, oświadczył w sprzeczności ze swemi poprzedniemi przemówieniami, w których wchodził szczegółowo we wszelkie moralne korzyści, jakie przyniesie wzniesienie pomnika przed Uniwersytetem, oświadczył tedy, że te wszelkie moralne względy są wcale podrzędne i zależą od indywidualnych zapatrywań, że chodzi głównie o to, gdzie pomnik najlepiej będzie wyglądać. Że jednakże w miejscu, za którem obstaje, najlepiej wyglądać będzie, nie dowiódł, powtarzając dawne i osłabione już dostatecznie i wielostronnie argumenta.

Tak tedy może postąpimy znowu krok naprzód, bo już nasze nieodzowne ślimacze dwa kroki w tył odbyliśmy „maxima cum gloria".

Czytelnia akademicka plakatami podała do publicznej wiadomości uchwałę komitetu.

Jak długo „Przegląd Akademicki" liczył dwutygodniowe odstępy czasu swego żywota, nie zwracaliśmy na niego uwagi, ani na zaczepki nie odpowiadaliśmy. Zapowiedziano z góry przez niechętne nam dzienniki, że powstał na nasze poskromienie, spodziewano się, że nas zmiele na mąkę — dlategośmy do walki nie występowali. Kiedy się z kim bowiem spiera, przez to samo wydaje mu się świadectwo równouprawnienia, mówi się: tyś taki dobry jak i ja, tylko na inny sposób. Tak nigdyśmy nie myśleli. Z góry okrzyczany pogromca nigdy nie jest straszny, zwłaszcza jeżeli występuje „na złość".

Smierć jednak ma tę własność, że na swych ofiarach wyciska piętno powagi. „Przegląd" umierając staje się w oczach naszych faktem dokonanem w przeszłości, objawem, że się tak wyrazimy, historycznym i z tego stanowiska obchodzi nas, jako ściśle należący do spraw młodzieży. Dlatego naruszamy nawet zasadę: „de mortuis nil nisi bene".

Powstanie „Przeglądu", jako dwutygodnika jest epizodem krucyaty przedsięwziętej w Krakowie przeciw „Przyszłości". „Przyszłość" powstając nie mogła liczyć się z tysiącem konwencyonalnych względów, boby nigdy nie wybrnęła z chaosu. Wywiesiła sztandar bezwzględnie i śmiało, zerwała odrazu te wszystkie hetki i pętelki, które zawsze utrudniały młodzieży wypowiedzenie nieobłudne swego zdania, z obawy obrażenia kogoś lub dotknięcia jakiejś tradycyi. Nie chciała robić ustępstw zasadniczych przez grzeczność ani pielęgnować dobrodusznych sentymentów polegających na kadzeniu firmom miejscowym. Podobne wystąpienie musiało odrazu w łonie samej młodzieży wywołać dwa obozy. W jednym skupili się zwolennicy „Przyszłości", w drugim.... reszta.

Nie pierwszy to raz taka reszta, nie mająca między sobą nic a nic wspólnego prócz niechęci, tworzy partyą — smutny los takich partyj, których pierwszym dogmatem niechęć. Łata się ona sztucznym kitem, który nie ma tęgości litej materyi ani hartu.

Na tę różnorodność żywiołów „Przeglądu" zwracamy zresztą uwagę o tyle tylko, o ile jest to nam potrzebne do zrozumienia dziwnych czasem kontrastów w samem piśmie. Nie chcemy oceniać motywów niechęci. Tak założony „Przegląd" musiał zwrócić na siebie uwagę tych wszystkich, którym „Przyszłość" była solą w oku, a nie mieli sposobności do otwartej z nią walki. Nasi — nie powiemy kto.... oni sami się domyślą — postąpili sobie z nami co najmniej niesumiennie. Wystąpiliśmy z dobrą wolą, wiedzeni szczerością, która nie pozwalała nam chować się po kątach z naszemi dążeniami ani bawić się w podziemne roboty. Zamiast poczciwego sądu — spotkały nas policzki — zamiast uwag, odwrócono się od nas z pogardą, w której czuć było źle tajoną obawę. Szliśmy przez udręczenia i pociski miotane złośliwą ręką z za płotu. Zawiązki „Przyszłości" należą do smutnej martyrologii, jaką zapisują sobie na długą pamiątkę wszystkie nowe kierunki. Pokazało się jednak, że oszczerczy pamflet napisany w „Czasie" piórem, godnem zaprawdę czegoś szlachetniejszego, że nieuczciwe sądy „G a z e t y K r a k o w s k i e j", o której w stosunku do „Czasu" można powtórzyć z Heinem: *Sie sah'n sich an so feindlich, und wollten vor Liebe vergeh'n*, że wszystkie jady i zimne szyderstwa osobiste — to za mało. Pokazało się, że z „Przyszłością" trzeba walki sumiennej, poważnej, trzeba śledzenia krok za krokiem. Jak na zbawienie pokazał się „Przegląd" — ten odrazu im się nadał. Niech on będzie kundysem — pomyśleli sobie — który dopilnuje plugawego pisemka pozytywistów, niech ich ogryzie do białej kości! Prawdziwie pomysł godzien obozu, który jest mistrzem w zabijaniu moralnem.... „Jeśli my zabijemy „Przyszłość"' to nic, ludzie powiedzą: ot! starzy nie rozumieją, to i wygadują — nikt się na to nie da złapać, a zresztą! kaci wiedzą — człowiek nie duch święty: w zapale może czasem rusznica spudłować, zęby stare nie dopisać przy odgryzaniu ładunku, ale niechno z młodymi młodzi zaczną, to powiemy odrazu: Patrz narodzie! na tych wyrodków, zaprzańców — własna brać ich się wypiera; wszystko co lepsze, co szlachetniejsze między młodzieżą odwraca się ze wstrętem od wrogów niepodległości naszej".

„Przegląd" dał się wciągnąć w walkę o gorące kasztany.... Protegowali go Jezuici (jeśli to mówimy, to na pewnych dowodach) dewotki roznosiły go w torbeczkach ze ślazowemi cukierkami, tabaką i intencyami na miesiąc maj. Żal nam otwarcie naszych kolegów, że niechęć zapędziła ich aż tam, tem więcej nam żal, bo bezwiednie może dali się tak popierać, może sami o tem do dziś dnia nie wiedzą.... zarumieniliby się gdyby wiedzieli co na ich pochwałę mówiono. Ale to wina nieubłaganej konsekwencyi życia — życie żąda

jasnego określenia dążeń, żadnej połowiczności. Kto na krok się ociąga, do tego przyczepią się ćmy i robactwo a nie otrząśnie się z nich tak łatwo. Zawsze tak zawsze bywa, gdzie różne siły zbierają się na wyprawę. Ten ma pałkę, ten siekierę, ten garnek ukropu a tamten bagnet lub armatę. Każdy na swój sposób walczy, byle trupa mnogo położyć. I tu tak samo. Dewotka mówi — ja odprawię cztery nowenny na ich zatracenie, ksiądz prawi, ja ich wyklnę z ambony, „Czas“ pisze: ja ich ogłoszę socyalistami. „A wy panowie od „Przeglądu“ napiera dewotka, upomina ksiądz, wzywa „Czas“ co wy zrobicie? boście wy przecieć nasi przyjaciele — jako wrogowie „Przyszłości“! I w końcu nie wchodząc w pojedyncze motywa, robota „Czasu“, księdza, dewotki i „Przeglądu“ idące na wspólny rachunek. Nikt tam nie będzie rozróżniał. Dewotka zrobiła to i to, „Czas“ to i to, ksiądz to i to, a „Przegląd“ dopiero to, tylko wszystko hurtem się rachuje: Szanowna partya narobiła tyle a tyle. A ta wspólność tem ściślejsza, tem bardziej wyklucza wszelkie rozróżnianie zasług, że ze zrozumiałych powodów nie każdy szermierz ze swych czynów zechce się pochwalić: Ugryzie — ot! i schowa zasługę w sercu, po co się tam chwalić, to na chwałę bożą.

Żal nam nie „Przeglądu“, lecz ludzi. Przyczepiono się do nich, bo byli wygodni i na rękę, lecz powtarzamy, że wina leży w ich stanowisku uprawniającem do podobnej serdeczności. Wszystko to jednak jest winą stosunków. „Przegląd“ cierpiąc przez nie, nie może za wszystko odpowiadać. Sfera jego odpowiedzialności rozpoczyna się dopiero z treścią numerów, a treść ta nie jest nieuczciwa, co jej zresztą nieuwalnia od innych błędów. Weźmy do ręki dwanaście numerów byłego dwutygodnika i zastanówmy się nad niemi. Żałujemy mocno, że brak miejsca nie pozwala nam wyczerpująco policzyć się z „Przeglądem“ zapytać go o wszystko i osądzić najściślej na podstawie jego własnych zeznań. Wydawnictwo rozpoczyna się spowiedzią koła redakcyjnego. Spowiedź ta robi jedno wrażenie: jest niejasna; przez zasłonę słów zagadkowych lub nic nie znaczących frazesów, dozwala przeglądać niby niektórym poczciwym chęciom, ale tak słabym i nie nowym, tak niewolniczo przywiązanym do utartych, odwiecznych, osłuchanych bez końca recept, że wrażenia żadnego nie są w stanie zrobić — chyba i na swych najserdeczniejszych przyjaciołach. Młodzież która nie zdobyła się na określenie stanowiska swego, która całą przepaść przekonaniową wypełnia pustym zwrotem: że ożywia ją ta idea, jaka jej zawsze świecić powinna — składa sobie sama świadectwo dość smutne. Z pisma które na cztery nogi powinno być podkute programem, ostro się rysującym i wybitnym, robi się coś, co w zaimku ogniskuje swoje nie jasne aspiracye. Zresztą inaczej być nie może.

Młodzież jeżeli chce wystąpić publicznie ma dwie drogi: albo przynosi coś nowego, albo za starszymi odmawiać polityczny paciorek. „Przegląd“ nic nie chciał przynieść nowego, więc powtórzył wszystkie frazesy, jakie spoczywały zapomniane, zardzewiałe w arsenale starszych. Każde pisemko prowincyonalne, każda bibuła, której nie stać na coś nowego, w ten sam sposób prawi o kosmopolityzmie, o inspirowanych prądach, o przedwczesnych teoryach politycznych i spółczesnych. Już św. pamięci Władysław Wójcicki, ojciec podobnych oburzeń zdyskredytował się zupełnie z niemi, już „Czas“ coraz rzadziej ucieka się do tego najgorszego z najgorszych kruczków, bo widzi że na nic się to nie zda. Jedna ambona bez ustannie z najlepszym skutkiem zabawia dobrodusznych parafian podobnemi powiastkami. Wyznania na temat miłości ojczyzny są równie oklepane. Dziś nikt się nie pyta, czy ty kochasz ojczyznę, bo ty powinieneś ją kochać, bo to twój obowiązek; gołosłowne więc prawienie o miłości ojczyzny, to także frazes, który na nic się niezda. Raczej pytać należy, jak ty kochasz ojczyznę, co dla niej chcesz zrobić, czego zaprzeć się dla jej dobra, co poświęcić?

Artykuł naczelny ze swą powodzią komunałów, z brakiem werwy i zacięcia, z anemią, z oddaniem się na łaskę i niełaskę starszyn, jest całkiem chybiony, niegodny naszej młodzieży. Otwarcie powiadamy, że ten artykuł sprawił, żeśmy unikali polemiki z „Przeglądem“ — bo go skompromitował w naszych oczach, nie dla przekonań, lecz dla braku przekonań. Wszystkie te błędy artykułu naczelnego pochodzą z fałszywego stanowiska. Że sama redakcya na seryo go nie brała, tego dowody mamy w dzielnej odpowiedzi danej delegatowi Badeniemu w Nr. 7. i w wielu innych miejscach. Redakcya starała się naprawić błędy pierwszego kroku, ale zawsze połowicznie, bo nie mogła się przyznać do tego.

Wygłosiwszy ten program cofają się w ciasne kółeczko czysto okolicznościowych studenckich spraw, im poświęcają artykuły wstępne.

Wycieczka w ogólniejsze sfery polityczne zatytułowana: w sprawie ruskiej jest mdła i nic ostatecznie nie mówi — słowo poświęcone konstytucyi 3 maja tchnie niejasnemi tendencyami w dziedzinę haseł wolności, ale boi się w prost powiedzieć wyraźnie swe zdanie, choć ono wisi na końcu pióra, wspomniane już ujęcie się za swobodą słowa młodzieży wobec starszych znamionuje zwrot bardzo niezgodny z programem, ale bardzo jasno pojmujący zasadnicze obłąkanie się twórców „Przeglądu“ i zapowiadał nawet stanowczą zmianę kierunku, wyzwolenie się zupełne — niestety wahanie i tu stanęło na przeszkodzie. Resztę artykułów wstępnych zajmują sprawy tak lokalne, że stawianie ich na czele pozbawia je wartości — omówione gdzieś w kronice lub w korespondencyi mogłyby mieć znaczenie, jako rzeczy piekące i domagające się odmiany. Głos „Przeglądu“ w sprawie kolonii wakacyjnych, w sprawie synekur stypendyalnych, w sprawie wyzyskiwania młodzieży należy do tego rodzaju. W tych wszystkich artykułach wstępnych widać wahanie, cofanie się i postępowanie bez ładu i myśli przewodniej. Kolizya oficyalnego godła z usposobieniem współpracowników coraz widoczniejsza. Chylą się nawet czasem ku krańcowym opiniom. Zdanie w sprawie oświaty ludu wzięli wprost z programu jaki niegdyś kierownicy „Przyszłości“ wywiesili na zebraniu akademickiem. Anneksya ta tem widoczniejsza, że zachowano stylizacyą pierwotnego źródła. Dodatkowo przyczepili nielicującą uwagę o powierzeniu strony etycznej duchowieństwu. Sprzeczność obu zdań aż nadto widoczna.

Dział korespondencyi razi ubóstwem. Dziwi nas to bardzo: Pismo założone do „łączenia rozproszonej po zaborach i zagranicą młodzieży w jedno ognisko serca i myśli“ powinno być całe w korespondencyach, wyczerpujących, zasadniczych, dociekających każdego tchnienia i ruchu, a przeciwnie korespondencye „Prze-

glądu" są oficyalne i jednostronne. Najwięcej zarzut ten stosuje się jednak do poezyi. Poezya ta nic nie ma wspólnego z młodzieżą — są tłomaczenia starożytnych pisarzów, lub panegiryki obce zupełnie dzisiejszym stosunkom. Pomijam już banalny przekład jednej z lichszych od Horacego, gdzie naiwny K. G. pozwala sobie wesołych innowacyi w budowie zdań względnych, zapuszczając się w swej pacholęcej niewinności do tęsknoty za kapłanem grzechów *contra naturam*, kodeksem karnym wzbronionych. Dziwnem nam się wydaje i to, że pismo które surowo powinno stać na straży moralności, dozwoliło „dać wziąć wolność" tak swobodnym próbkom, jak zatytułowanej „Na guwernerce".

Zaprawdę wobec takiej różnorodności i chwiejności zasad pismo powinno mieć nazwę „Miscellanea". Nie idzie zatem żeby nie znalazły się tam rzeczy prawdziwie dobre, godne stać pod lepszym programem. Do prac tych zaliczyć musimy wspomnienie o Józefie Szujskim, napisane z talentem i ciepło. Drobną przesadę w uwielbieniu łatwo rozumiemy, ze względu na świeży żal za zgasłym profesorem. Równie dzielne są artykuły o naukach politycznych i społecznych na uniwersytecie i o naszych profesorach historyi. Prace te równie jak ściśle zebrane wiadomości z dziejów naszych towarzystw akademickich oraz sumiennie i barwnie prowadzona kronika dowodzą, że „Przegląd" posiadał ludzi z talentem i zdolnych. Redagowanie numerów prócz małych wyjątków było staranne i urozmaicone. Ta strona zewnętrzna nie wiele zostawia do życzenia.

Mimo to „Przegląd" zawiesił swoje wydawnictwo. Motywa wyszczególnione w artykule wstępnym ostatniego zeszytu są smutną nauką dla koła redakcyjnego, w jak niebezpieczną grę się wdało. Znalazło się ono, pełne dobrych przymiotów, w otoczeniu ludzi i przekonań nielicujących z niem — zaprzęgli się do roboty niewdzięcznej i jałowej, niewartej pracy i zachodów. Z razu niechęć do „Przyszłości" dodawała im otuchy, zaślepiła ich w jasnym sądzie o politycznych druhach, do których niebacznie się przyłączyli. Różnice musiały z czasem wystąpić i wywołać rozczarowanie, sprowadzić niekonsekwencye w samem piśmie a wreszcie zakończyć się upadkiem „Przeglądu". Było to nieuniknione. Nie można im wybaczyć jednak namiętności z jaką wycofali się z publicznego widoku. Ale znać, że i ten zjadliwy głos, zdradziecki i zły, wydobywający się z listu do redaakcyi „Przeglądu akademickiego" — napłynął z zewnątrz. Jestto ostatni objaw tych dyssonansów, któremi ręka ukryta fałszowała harmonią w pośród młodzieży. Zwinięcie „Przeglądu" jest świadectwem nigdy nie zbytecznem, że niejasne programy cierpkie rodzą owoce, że chwiejność na złem się kończy; wreszcie jest nauką dla redakcyi, jak wychodzi się na usługach w przeżytym obozie. „Przegląd" upadł przez brak poparcia, poparcia zaś odmówiono mu bo zbudziło się w nim tchnienie lepsze, grawitujące ku tym prądom, które miał niszczyć i druzgotać. Tchnienie to nie objawiło się jeszcze wyraźnie, ale zarodki już wydały się niebezpieczne — i zdaje nam się, że po upływie roku nienawidziliby „Przeglądu" sami jego opiekunowie. —

KORESPONDENCYE.

Z Krakowa.

„Oj bywali my, bywali, czem dziś nie bywamy!" należałoby nam myśleć przy obchodzie jubileuszu Jana III. My jednak wolimy myśleć: „oj robimy paradę, robimy, jakiejśmy jeszcze nie robiii!" — To jest myśl filozoficzna z tej całej historyi wyciśnięta. Kiedyśmy przechodzili ulicami szemrzącemi od chorągwi, zdawało nam się, że słyszymy w tych szmerach one słowa: „pawiem narodów byłaś i papugą... a dzisiaj"... Dzisiaj? dziwne pytanie; alboż u nas jest jakie „dzisiaj"? U nas zawsze jest „wczoraj".

Nie należy do pisma naszego opisywanie uroczystości jubileuszowych. Zaznaczymy tylko, że młodzież złożyła wieniec na trumnie, z napisem: „obrońcy cywilizacyi", należała do straży obywatelskiej i wysłała swoją reprezentacyę na uroczysty pochód. Zdanie moje zresztą o uroczystościach jubileuszowych streścimy krótko. Jubileusz godziło się obchodzić, ale obchodzić go należało poważnie i bez hałasu. Złożenie wieńców, otwarcie wystawy zabytków, przedstawienie w teatrze, to dobrze. Za myśl nieszczęśliwą z gruntu uważamy ową procesyę dnia 12 b. m. odbytą. Jest to manifestacya uliczna, która nie ma celu i treści. Jubileusz wreszcie cały, powinien się był zdaniem naszem skończyć w jednym dniu. Ale u nas tak to bywa: kiedy się w dobrej kompanii zabawią ludziska w późną noc, nigdy potem spać prosto nie idą, ale obchodzą jeszcze wszystkie zaułki miasta, wszystkiego próbują, a nad ranem nie wiele brakuje, aby się ktoś odezwał z propozycyą: „wiecie co, jak użyć to użyć; chodźmy teraz do cyrulika i dajmy sobie wydłubać po oku".

Co się tyczy „uroczystości ludowej", godzimy się na nią w zasadzie. Dobrze, z ludem, z którym razem chcemy pracować, razem obchodźmy pamiątki; korzystajmy z każdej sposobności zbliżenia się do niego. Tylko — nie bawmy się z nim w szopkę. Nie jestże to szopka kazać wychodzić mu z miasta na Błcnia, aby tam go powitać? Być może, że to nie razi ludzi do etykiety rozmaitej wzwyczajonych, ale dla człowieka z prostym i powiedzmy nieskoszlawionym rozsądkiem, to komedya. Chcieli się panowie zabawić, przypatrzyć się krakusom, podziwić obcym sukmanom, ot i tyle. Prawda tego bije w oczy. Wszakże w onych banderach konnych krakusów nie byli sami chłopi? Bez żadnej nawet żenady panicze nie pozbyli się rękawiczek i cwikerów. A więc — kulik, a więc to, co my w naszym studenckim dyalekcie nazywamy z prosta „szopką". Ten to charakter odbił się też na całej uroczystości; szkoda, bo można było z niej co poczciwego zrobić. Że były uściski, łzy, że ktoś z rozczulenia dostał spazmów, to nas nie wiele rozczula. U nas miękcy ludzie, wiedzieliśmy zdawna. Zresztą, być może, że z tego wszystkiego i coś tam dobrego zostanię; może utkwi jakie dobre ziarno z mów wygłoszonych w duszach owej młodszej braci, do której tak rzadko się w ogóle mówi. O reszcie, czegośmy nie widzieli, czego pewni nie jesteśmy, mówić nie chcemy. N. p. nie rozbieramy kwestyi, o której coś szepczą złośliwi, że mowy wygłoszone przez chłopów były przez literata napisane... Bądźmy optymistami; i w temby była pewna korzyść; wszakże zna-

joma nam historya o owym amatorze słowików, który zachwycał się gwizdaniem sztukmistrza ukrytego za krzakiem a prawdziwego słowika wziął za szczygła. Prawdziwe słowiki mają czasem mniej wdzięczne zwroty. Gdyby tak n. p. który z chłopskich mowców odezwał się, (a dosłownie z ust ludu bierzemy cytatę): - „Panowie strasznie nas kochają, tylko jedno: tego chłopskiego smrodu nie lubią, co od potu".

. . . .

Z powodu jubileuszu 25-letniej pracy Jana Matejki, młodzież wręczyła mu swoje adresy. Nieporządek w komitecie Matejkowskim spowodował różne bałamuctwa; adresy miały być wszystkie złożone we wspólnej tece, o którą miał się postarać komitet; tymczasem komitet zaniedbał wszystkiego. Czytelnia akademicka w ostatniej chwili starała się więc zrobić co się dało. Przestroga to, aby niespuszczać się na drugich, którzy zaufaniu w nich położonemu odpowiedzieć nie umieją, a niedołęstwem i bezradnością sprawdzają smutne zdanie o polskiej gospodarce. Czytelnia akademicka nie zawiodła zaufania tych, którzy jej swe adresy do T. T. Jeża powierzyli; wyekwipowała je wspaniale. Ale tym razem i ona i inne polskie stowarzyszenia zapomniały, że mają do czynienia z — artystami, słynącymi artystycznym nieładem i nie troszczącymi się o doczesne sprawy. Toż jeśli przy jubileuszu Jeża koledzy Lwowianie musieli żałować, że adresu swego nie oddali wspólnie, tym razem wyszli na tem dobrze. Deputacya ich, złożona z prezesów Czytelni akademickiej i politechnicznej wręczyła jubilatowi wspaniałą tekę i świetny adres. Osobno przesłała też swój adres młodzież petersburgska, a wręczył go uczeń Szkoły sztuk pięknych, Popiel. W deputacyi młodzieży brali też udział kol. Gostkowski, prezes „Ogniska" w Wiedniu i kolega Hanusz z Lipska.

Ze Lwowa.

Młodzież akademicka we Lwowie urządziła 12 b. m. ku uczczeniu pamięci króla Jana III i odsieczy wiedeńskiej wieczorek muzykalno-deklamacyjny w lokalnościach Czytelni akademickiej. Pomimo, że na uniwersytecie są obecnie ferye i mała liczba akademików przebywa we Lwowie, już o 7-mej godzinie zapełniły się sale Czytelni licznymi zastępami młodzieży akademickiej. Na uroczystość przybył rektor uniwersytetu dr. Radziszewski, powitany z zapałem przez zebranych akademików, prof. dr. Balasitz i kilku innych przyjaciół młodzieży. Wiceprezes Czytelni p. Leon Dziubiński powitał zebranych krótką przemową, w której zaznaczył, że młodzież akademicka w pierwszej linii czuje się zobowiązaną złożyć hołd rycerskiemu królowi i walecznym przodkom, którzy pod Wiedniem wsławili oręż polski i ocalili chrześciaństwo od tureckiego jarzma. Wspomnienie tego wielkiego czynu przypomina młodzieży akademickiej jej święty obowiązek zgodnego podejmowania wytrwałych prac, któreby przyniosły pożytek krajowi i lepszą sprowadziły przyszłość. Przyłączając się do gorących oznak czci i hołdu, jakie cały kraj składa Janowi III, tem samem stwierdza młodzież akademicka, że pamięta o swych obowiązkach i będzie się starała urzeczywistnić pokładane w sobie nadzieje. Z kolei akademik Czermak Witold w dłuższym odczycie przedstawił wyczerpująco znaczenie dziejowe odsieczy wiedeńskiej. Resztę wieczoru zajęła gra na fortepianie, śpiew, tudzież wyborna deklamacya akademicka Władysława Madeyskiego, Po wieczorku odbyła się skromna uczta, w której wzięło udział kilkudziesięciu akademików. Spełniono toasty na pomyślność kraju, na rozwój Czytelni akademickiej, na zgodę Polaków z Rusinami, tudzież na cześć kolegów zakordonowych obecnego dra Ludwika Finkla, p. Kostrakiewicza prezesa Bratniej Pomocy Politechników, pan Popłowskiego prezesa Czytelni akademickiej. Odśpiewano przytem kilka pieśni. W rozmowie poruszono nadto obecne stosunki młodzieży akademickiej, w której to sprawie przemówiło kilku starszych i doświadczonych akademików. Tak wieczorek jak uczta odbyły się w najzupełniejszym porządku, a wszyscy uczestnicy wynieśli z niej jak najmilsze wrażenie. (N. Reforma).

Z wycieczki.

Od czasów, kiedy Dietl opierając się na rozbiorach chemicznych wód polskich zdrojowych otworzył oczy lekarzy i publiczności na skarby w naszej ziemi zawarte, balneologia krajowa czyni szybkie postępy. Każdy rok świadczy wymownie, iż już nas zagranica nie olśniewa; kto kocha swą ziemię rodzinną, poczuwa się do obowiązku w swoim zakresie przyłożyć rękę do dzieła podniesienia naszych zdrojowisk. Że w tem dziele wielki udział przypada lekarzom, każdy to pojmie. Oni to winni poznać naocznie, co posiadamy a co posiadać musimy. Chcąc się utrwalić w prawdziwej miłości należy niemal każdą piędź ziemi ojczystej przejrzeć na wskroś, dojrzeć złe i dobre, by dobre podtrzymać, złe usunąć, a braki wypełnić.

Tą ideą ożywieni, dziesięciu nas wybrało się w drogę po zdrojowiskach ojczystych dnia 17 lipca rano o 5 godz. Czarne chmury wisiały nad głowami, słońce tylko niekiedy przedzierało się; wobec poprzedzającej długiej pogody były to zwiastuny złowrogie. Będzie pogoda, czy nie — to pytanie żywo nas zajęło, każdy musiał coś ze swej meteorologii zaczerpnąć na dowód, iż pogoda będzie. Naturalnie, wszak chętnie się wierzy w to, czego się pragnie. Dopiero zaintonowana pieśń przez kol. śpiewaka B. rozprószyła nasze myśli o pogodzie a wózki góralskie wartko nas uniosły do Rabki.

Droga zleciała nam, jakby z bicza trzasnął, bo ją urozmajcały coraz piękniejsze widoki, wesoła rozmowa koleżeńska i częste popasy. Nad wieczorem stanęliśmy w Rabce; już u samego wstępu zanieśliśmy tu wesołość, bo śpiewając zajechaliśmy przed zakład. Uprzejmy lekarz zakładowy dr. Kopf okazał nam zdroje i łazienki. Nie bez pewnego rozczarowania przypatrywaliśmy się Zakładowi. Urządzenie bowiem jego wcale nieodpowiada składom tej solanki bogatej w jod i brom. Niedostatki są rażące w oczy, a przecież na brak poparcia ze strony publiczności i lekarza uskarżać się nie można. Piękną myśl rzuconą przez Dietla podniósł obecny następca w klinice prof. dr. Korczyński i wraz z całym szeregiem lekarzy polskich staranną opieką otaczają krajowe zdrojowiska w nadziei, iż przez to podnoszą dobrobyt kraju. Taka też była treść mów i toastów wznoszonych na uczcie, jaką nas gościł lekarz zakładowy, zastępujący w zupełności gospodarza Zakładu. Pod miłem wrażeniem tego serdecznego przyjęcia z najlepszemi życzeniami ruszyliśmy do Zakopanego, do pięknej polskiej stacyi klimatycznej. Coraz bliżej przysuwające się turnie tatrzańskie wabiły nas swą dziką

pięknością, a nadto księżyc wschodzący rozlewał złote promienie na szczyty gór i okazał nam je w cudnej postaci. Serce żywiej bić poczęło i pieśń szła weselej, góralom dotąd posępnym język się rozwiązał i nuż nam bajać baśnie góralskie.

Wyjechawszy z Rabki o 10 z rana, stanęliśmy w Zakopanem o 12 w nocy. Dla zziębniętych i rozespanych od turkotu wózków herbata i dach gościnny dra Pias. były nam nader pożądane. Jeżeli przyroda dotąd po macoszemu z nami się obchodziła, od dnia przybycia do Zakopanego widocznie nas prześladowała. Każda wycieczka kończyła się przemoknięciem, opłacała to nam jednak sowicie w Zakopanem towarzystwo miłych Warszawianek.

Mimo tej słoty wiszącej w powietrzu nie wahaliśmy się wybrać na dalszą wycieczkę tj. do Morskiego Oka.

Ubrani w długie białe płaszcze, jeszcze z dłuższymi kijami góralskimi w rękach. zaopatrzeni w żywność dzięki staraniom gospodarza wycieczki kol. G. pod przewodnictwem górali: Wali, Giewonta, Tomka Gąsienicy, ruszyliśmy powolnym krokiem żegnając się z Zakopanem. Trudno się nam podzielić z wrażeniami z tej wycieczki, bo były niezupełne — najpiękniejsze widoki przy Czarnym Stawie (gąsienicowym), z Zawratu na dolinę pięciu Stawów itd. zasłaniały nam nieustannie przeciągające gęste mgły. Zziębnięci i zmoczeni od zawieruchy śnieżnej mile spoglądaliśmy z Zawratu na schronisko przy Wielkim Stawie; bo tam nas czekała ciepła herbata i odpoczynek. Niska, ciasna, dymna buda roiła się od ruchu; każdy z kolegów miał sobie przydzieloną pewną czynność: kolega od suszenia rzeczy, od herbaty, od chleba itp. Rozumie się na tle takiego zajęcia sypały się dowcipy jak z rogu obfitości. Wesołość, która nas nigdy nie opuszczała, nawet ten przybytek umiała nam uczynić miłym. Bezwątpienia wycieczka wśród takich warunków ze strony przyrody pojedynczego podróżnika byłaby przygnębiła — na nas działała podniecająco i mimowoli przychodziły na myśl słowa znanej piosenki:

Lepiej razem żyć w niedoli,
Niż samemu w szczęsnej doli.

Po dwugodzinnym odpoczynku ruszyliśmy w drogę. O godzinie $5^1/_2$ popołud. byliśmy już przy Morskim Oku. Rozkoszne widoki, którymi się tu inni podróżni podczas pogody zachwycają, dla nas nie były, zadowalniać się musieliśmy przejażdką więcej chyba dla zwyczaju odbytą po Morskim Oku.

Dnia następnego tj. 26 lipca ruszyliśmy w deszczu do wsi Jaworzyny, gdzie na nas furmanki czekały, bo stąd było w planie zwiedzenie stacyi klimatycznej w Szmeksie na Węgrzech. Obiecywaliśmy sobie wiele przyjemności z pobytu między Węgrami. Pomijając już bowiem przypowiastkę „Węgier Polak dwa bratanki“, oparliśmy te nasze nadzieje na liście dra Szontayha właściciela zakładu w Nowym Szmeksie pisanym do prof. dra Korczyńskiego, opiekuna naszej wycieczki. Po tak męczącej podróży uśmiechały się nam przyrzeczone w wspomnianym liście „Logis, Bäder und Service“. Z wesołą miną, z wąsem nastrojonym na ton węgierski, powtarzając sobie po drodze nauczonych parę wyrazów węgierskich, zajechaliśmy do Szmeksu.

Przyjęcie chłodne przez dra Sz., pokój brudny i niechlujny przydzielony nam jakby z łaski, życie bardzo drogie, jak na studenckie kieszenie nakazywały już w trzy godziny po przyjeździe myśleć o wyjeździe. Oglądnąwszy śliczny zakład, zwiedziwszy co dla nas było pouczającego, odbyliśmy wspólną naradę co do pory wyjazdu. Rządziliśmy się bowiem republiką, większością głosów zapadła uchwała, obowięzywała wszystkich. Rzadko kiedy w podróży tak jednomyślnie postanowiono co prędzej wyjeżdżać. Zanocowawszy w Kezmarku jechaliśmy wprost do Szczawnicy. Jak zwykle tak i teraz po drodze zwiedzaliśmy wszystko godne widzenia: jak zamek w Niedzicy, Czorsztynie. Chętnie zatrzymywaliśmy się na rozmowie z włościanami i zaglądaliśmy do ich domów, by poznać lud nasz i w tym zakątku kraju. Pewnie głównym celem naszej wycieczki było poznać zdrojowiska polskie, lecz czyż mógł nam być obojętnym włościanin, ta podpora nasza, materyał zapasowy na przyszłość? Nie chcemy się zasklepić w skorupie lekarskiej i obojętnie przypatrywać się tokom spraw narodowych. Część pracy obywatelskiej chętnie bierzemy na swoje barki, zwłaszcza, że z obowiązkiem naszym połączona jest styczność ze wszystkiemi warstwami społeczeństwa. Warto jest przeto przy każdej sposobności wglądać w dom i w głąb duszy każdego rodaka. Na podobnych rozmowach mijała nam droga, żywe ścieranie się zdań przyczyniło się do wyjaśnienia niejednej sprawy ważnej, do określenia niejednego kierunku pracy na przyszłość. Wspólne zwiedzanie kraju ojczystego i jego skarbów jest rzec mogę śmiało szkołą obywatelską.

Tymczasem 28 lipca zajeżdżamy do Szczawnicy. Po Szmeksie umieliśmy ocenić Szczawnicę a tém samem swoich. Czcigodny prezes Majer niczego nie poskąpił, by nam umilić pobyt w tem pierwszem zdrowisku polskiem. Pierwszy dzień zeszedł nam na zwiedzaniu zdrojów i zabudowań kąpielowych pod kierunkiem dra Ściborowskiego. W drugim odbyliśmy wycieczkę przez Trzy Korony do Czerwonego Klasztoru, do Śmierdzączki a ztamtąd łódkami po cudnym Dunajcu napowrót

Na dzień trzeci czekała nas wielka przyjemność. Bawiący w Szczawnicy koledzy z Warszawy, przeważnie medycy dowiedziawszy się o naszem przybyciu przygotowali przyjęcie na Miodziusiu. Było to spotkanie się rodzonych braci jakby po długiem niewidzeniu się.

Rozmowa przerywana mowami i toastami postępowała szybkim prądem. Nawzajem opowiadaliśmy sobie naszą przeszłość, teraźniejszość i marzyli o wspólnej przyszłości. Nawzajem zdawaliśmy sprawę z czynności i krzątań około sprawy ojczystej, zakreślali sobie dalsze pole działaniu. Uroczysty nastrój panował — kilku poważniejszych, między nimi p. H. z Warszawy zalewało się serdecznemi łzami, ściskali i całowali nas po kolei. Stanowiliśmy wkrótce jedną wspólną rodzinę. W tem kolega W. zaintonował na fortepianie: „Z dymem pożarów“. Uroczyście odśpiewaliśmy. Poczem coraz weselsze, żywsze piosenki śpiewano. Wesołość ogarnęła wszystkich. Długo jeszcze w nocy przerywaliśmy śpiewem sen spokojnych Szczawniczan, nie obeszło się i bez tańców solowych narodowych, w czem koledzy B. i P. ogólny poklask zyskali.

Pamięć dnia tego wyryła się głęboko w każdego umyśle. W dniu czwartym ochoczo zabawialiśmy się tańcami, zwłaszcza, iż piękny cel dochodu „na pomnik Mickiewicza“ zgromadził licznie powabne Polki. Z żalem 2 sierpnia opuszczamy Szczawnicę. Długi czas żyliśmy wrażeniami wyniesionemi ztamtąd Dopiero prześliczna okolica Żegiestowska zajęła naszą uwagę. Sam Żegiestów w powabnej kotlinie leżący i uprzejmość gospodarza p. Medweckiego, oraz dra Danielskiego zatrzymały nas tutaj przez dwa dni. 5 sierpnia wjechaliśmy koleją do Krynicy. Brak dalszych wycieczek zastąpiło nam tutaj zwiedzenie Zakładu wraz z łazienkami.

Ztąd wzięliśmy wzór, jak łazienki powinny być urządzone, bo z żalem wyznać musimy, iż we wszystkich innych zakładach polskich łazienki małe nie odpowiadają

swem urządzeniem wymogom nauki lekarskiej. Widzieliśmy wiele innych wad w urządzeniu Zakładów, nie tu jednak miejsce rozwodzić się nad niemi. Jest jednak nadzieja, iż lepiej będzie; mnoży się bowiem coraz większy zastęp lekarzy, którzy bez ważnej przyczyny nie wyślą chorego za granicę, a tem samem przyczyniają się do podnoszenia zakładów krajowych. Trochę dobrej woli i zrozumienia własnej sprawy ze strony właścicieli Zakładów a z pewnością wkrótce dorównają swem urządzeniem zakładom zagranicznym.

Kończąc wycieczkę wyraziliśmy życzenie, żebyśmy nie byli bez następców, sprawa tak piękna, jak zwiedzanie kraju i skarbów jego winna zyskiwać jak najwięcej zwolenników, zwłaszcza, iż przy znanej uprzejmości i grzeczności właścicieli zakładów, z której z wdzięcznością korzystaliśmy, koszta podróży można opędzić nieznacznymi kosztami, chociaż publiczność użala się na niepraktykowane nawet za granicą ceny mieszkań i żywności.

J. W.

NOWINY.

Dr. Anatol Lewicki, autor wybornej monografii o Mieszku II, dotychczas profesor gymnazyalny, został nadzwyczajnym profesorem historyi austryackiej na wszechnicy Jagiellońskiej, na miejsce prof. Smolki, który objął katedrę historyi polskiej, opróżnioną po śmierci Józefa Szujskiego.

W siedmiu wszechnicach austryackich było w ubiegłym semestrze 9571 studentów, z których 4524 prawników, 2418 medyków, 1461 filozofów, 1168 teologów itd. Do uniwersytetu wiedeńskiego uczęszczało 3755 studentów — w Pradze: do niemieckiego 1442, do czeskiego 973 — we Lwowie 895 — w Gradcu 867 — w Krakowie 783 — w Insbruku 653 — w Czerniowcach 248.

Wobec zapadłej już uchwały, że pomnik Mickiewicza ma stać na rynku, dwie broszury w tej sprawie należą do głosów przebrzmiałych. Ponieważ jednak późno się pojawiły i charakterystyszne mają znaczenie nie możemy powstrzymać się od wzmianki. Jedną napisał pan Walery Rzewuski i dał jej tytuł „Gdzie postawić pomnik Mickiewicza?“ Jestto publikacya wesoła i świadcząca dobrze o obczytaniu się pana Rzewuskiego w różnych pisarzach. Dedukcyjnie wyprowadza on z wyjątków Mickiewicza, listów Odyńca, wspomnień córki Adama i innych dzieł niezbitą prawdę, że pomnik Mickiewicza musi stać na placu przed nowem Collegium. Komuby oczywistość tych cytat zakutej nie rozjaśniła głowy, ten musi uledz niemej wymowie załączonych czterech litografowanych tablic. Mimo, że fotografia, litografia, kompilacya, sztuka drukarska i cytaty podały sobie ręce, płód zaciętej duszy pana Rzewuskiego nie zrobił skutku przez nakładcę i komentatora, bo tak chyba pana Rzewuskiego nazwać się godzi, zamierzonego. Mimowoli tęsknota się budzi za owymi czasami, kiedy społeczność miała bystry dar tworzenia przysłów, bo pan R. mógłby doskonale w „tych skarbach filozofii ludowej“ figurować obok Filipów i Marków. Swego jednak dopiął. Dr. Estreycher w bibliografii nie może go pominąć! Druga broszurka jest pióra prof. Maryana Sokołowskiego, napisana rozumnie i umiarkowanie zastanawia się szczególnie nad kwestyą, czy nie lepiej dać spokój sporom, a postawić pomnik gdziebądź, byle stał, wobec jednak ogólnej woli przyznaje w końcu, że na rynku postawić Adama należy. Opinią p. Sokołowskiego cenimy, bo mimo, że był niegdyś ze względów sztuki rynkowi nieprzychylny, uległ jednak rozsądnie żądaniom powszechnym, nie uważał za stosowne koniecznie przeciw prądowi płynąć. Ustępstwo jego jest rozumne i trzeźwe, a więcej go chyba musiało kosztować, niż pana Rzewuskiego zrodzenie pomysłu „placykowego“.

Odpowiedź Redakcyi.

Kolegom z Warszawy, którzy przez posła R. na ręce kolegi Ł. przysłali wiadomy protest, donosimy, że drukować go nie możemy bez poprzedniego odsłonięcia anonymu oraz bez porozumienia się ściślejszego. Nie wymawiamy się jednak od umieszczenia, po załatwieniu powyżej wymienionych warunków.

Bojaźliwemu panu oznajmiamy, że słusznie tai się za płotem, boć biedaczyna jeden także śpiewał: .... fortuny igrzysko, I na cóż się komu przyda wiedzieć me nazwisko.

Panu A. Nie możemy wdać się w sprawozdania, któremi przepełnione są i tak pisma codzienne. Konkurencya byłaby bezowocna i niepotrzebna wcale.

Endymion. Wiersze poprawiwszy starannie, możesz pan dać gdzie do Kalendarza.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Dr. Jan Jodłowski. — Drukarnia Związkowa w Krakowie. Zarządca A. Szyjewski.